

PLOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR. 13

WARSZAWA, 25 LISTOPADA 1935 R.



POD SAMOSIERRĄ.

Fragment obrazu W. Kossaka

W. Kossaka

W ziemi włoskiej

Pod błękitnem, włoskiem niebem,
wśród gajów zielonych,
obca ziemia obcym chlebem
karmiła Legjony.

Przerzedzały lata krwawe
żołnierzy - tułaczy,
bo za chleb ten i za sławę
krwią trza było płacić.

Trzeba było z szablą w dłoni
przez krew i przez ogień
do Ojczyzny umęczonej
wyrąbywać drogę.

Ale kiedyś pieśń błysnęła
ponad szabel błyskiem
o tym trudzie, — co prowadzi
do wolności bliskiej.

Aż do kraju pofrunęła
z krwawej, obcej ziemi:
„Jeszcze Polska nie zginęła,
póki my żyjemy”.

JÓZEF SUŁKOWSKI

Na dalekiej, egipskiej ziemi w nocy z dnia 22 na 23 października 1798 r. pośliznął się i upadł koń z jeźdźcem. Na piachu pustyni pozostały krwawe strzępy, rozwłócone wnet w kurzu bitwy zacieklej. Zginął adjutant Napoleona — księżę Józef Sułkowski. Pamięć o nim przechował fort imienia Sułkowskiego, wystawiony w cieniu piramid, które tylekroć były świadkami bohaterskich czynów genialnego Polaka, co jeden tylko mocen był zastąpić „wielkiego Korsykana”, jak głosiła opinia współczesna.

Józef Sułkowski nie miał szczęścia w życiu. Nie szukał go też. Nie zaznał nigdy ciepła rodzinnego domu. Chował się u stryja ordynata, lecz choć wzrastał w dobrobycie i zbytku i życie stało przed nim otworem — miał serce czule jedynie na krzywdę swych bliźnich, tych maluczkich i bolał nad niedolą Polski, w której panoszyli się chciwi, zachłanni sąsiedzi, a jej synowie, w dziwnym jakimś zaślepieniu, nie umieli wyłonić z siebie odpowiedniej siły odpornej i wyglądali tylko obcej pomocy. Rozszedł się

tedy ze stryjem magnatem, a cały swój zapal młodzieńczy, wielkie zdolności i ofiarną pracę oddał bez reszty Sprawie



JÓZEF SUŁKOWSKI



NAPOLEON

Ojczyste. Honor i Ojczyzna stały się potężnymi drogowskazami jego żywota.

I zdawało się, że ofiara zacnych obywateli zdoła uratować Polskę. Obradował Sejm Wielki, formowała się polska siła zbrojna — zamach dnia 3-go maja przeobrazić miał Rzeczpospolitą Polską w państwo silne, praworządne. Niezwykłe zdolności militarne księcia Sułkowskiego ujawniły się w walce z wojskami moskiewskimi, które wkroczyły na ziemię polską w obronie zagrożonego bezwładu. Rozkaz dzienny po bitwie pod Zelwą podnosił bohaterski odpór regimentu Działyńskiego, w którym „książę Sułkowski dał dowody niezwykłego męstwa i rzadkich zdolności”. Lecz wnet Konfederacja Targowicka i przystąpienie do niej króla unicestwiła wszelkie zakusy ratowania Ojczyzny. Z rozkazu ca-

rowej Katarzyny przystąpiono do redukcji wojska. Nie było trzeba Polsce dzielnych żołnierzy, nie było w niej miejsca na niezwykle talenty. Książę Sułkowski porzucił też swój pułk, wyjechał do Francji z nadzieją, że może z kraju, gdzie toczyła się walka o wolność, zabłysną dla Polski nowe zorze. Niezadowolony jeszcze stopień majora i krzyż wojenny, którego nosić nie było wolno — to jedyne pamiątki, które wywiózł z kraju. Rząd rewolucyjny ocenił szybko wielkie zdolności młodego oficera. Porучzył mu poważną misję polityczną na Wschodzie. W Konstantynopolu doszła Sułkowskiego wieść o powstaniu Kościuszki.

W przebraniu kupca ormiańskiego stara się przedrzeć do kraju poprzez ziemie austriackie. Lecz zanim udała mu się ta znojna przeprawa,

zagasło powstanie po klęsce maciejowickiej. Ostatni rozbiór wymazał Polskę z karty Europy.

Sułkowski zaciąga się tedy w szeregi francuskie i dostaje przydział do Włoch. Niełatwe było stanowisko młodego kapitana, o trudnem do wymówienia nazwisku, wyposażonego w specjalne polecenie rządu, którego wielkie talenty i męstwo budziły podziw, przy boku generała Bonapartego, ambitnego wodza. Józef Sułkowski nie szukał osobistej kariery na placu boju, walczył jedynie dla Polski, dla chwały jej imienia dokonywał aktów największej brawury, dla dobra Ojczyzny oddał swą wiedzę i ofiarną pracę. A po ukończeniu kampanji włoskiej, do której powodzenia przyczynił się waleśnie, niewyleczony jeszcze z ran rusza na egipski plac boju. Bierze udział

w zdobyciu Valetty, Malty, Aleksandrii, dokazuje cudów waleczności w onej sławnej bitwie, na którą 40 wieków patrzyło pod piramidami. Adjutant wodza naczelnego staje się najpopularniejszą postacią w szeregach francuskich, a wyniosła jego postać budzi niesamowity lęk u wrogów. Cudem nieomal wychodzi cało z najcięższych opresyj, zarabany i zakłuty odradza się i zjawia się na posterunku. Nic to, że awanse jego nie stoją w stosunku do zasług. Może odgrywała tu rolę zawistna obawa naczelnego wo-

dza, jak tego chce legenda. Nie szukał też wyniesienia się i sławy ów rycerz bez skazy, gdy osłabły, niewyleczony z ran na wieść o rewolcie w Kairze przebił się poprzez zwarte zastępy wrogów, by sprowadzić sukurs dla zagrożonej załogi francuskiej. Nie gnał go na zatracenie rozkaz wodza, parło go naprzód wysoko pojęte poczucie obowiązku, które wziął na się na chwałę imienia Polski. Odrodzeniu Polski złożył Józef Sułkowski swe życie w ofierze.

Zofja Krzemicka

MAŁY DOBOSZ

— Idzie! idzie!

Gromadka dzieci wybiegła pośpiesznie z wąskiej bramy kamienicy na Starem Mieście. Wszystkie chciały zobaczyć.

Istotnie szedł. Szary osiołek wioził na wózku wielki bęben. Mały dobosz szedł obok. Dzieci z otwartymi ustami patrzyły na jego mundur, takusienki, jak mieli na sobie maszerujący żołnierze. Spod wielkiej czapy wesoło błyskały małemu doboszowi oczy, kiedy widział, że w całym tym świetnym oddziale, który maszeruje ulicami Warszawy, on sam wzbudza najwięcej zainteresowania.

Raz — dwa, raz — dwa — dudniły głucho po ulicy miarowe kroki. Mały dobosz dobrze musiał wyciągać nogi, żeby iść w takt i nie zmylić. Jakże, nie sięgał przecież swoim kolegą w szeregu dalej, niż do pasa. A już wielkiemu Józwiakowi chyba tylko do kolana.

Przekupki wyglądały ze swoich straganów.

— Mościewy, takie to małe jeszcze!

— A jak to ostro maszeruje!

— Niebożátko! — uzałża się któraś.

Ale mały dobosz nie wyglądał wcale na „niebożátko”. Szedł sobie wesoło, ciesząc się słońcem i pogodą. I jeszcze tem, że niedługo marsz się skończy i będzie sobie można odpocząć.

Gwarno i ruchliwie było na ulicach Warszawy. Jakże, toż stało się przed nową wielką kampanją. Wojska francu-

skie ciągnęły na wschód, a razem z nimi wyruszała armja, którą najwyższym, ofiarnym wysiłkiem wystawiło Księstwo Warszawskie. Spodziewano się w Warszawie w najbliższym czasie wizyty samego cesarza Napoleona. Wierzano, że ta nowa wojna da już wreszcie prawdziwe państwo polskie, nie tak małeńkie i okrojone, jak było Księstwo Warszawskie. Radośnie witał żołnierzy lud warszawski, gościł ich chętnie, dzielił się z nimi wszystkim, co miał.

Tutaj, na starem mieście, wśród przekupek i straganiarek największą sympatją cieszył się mały dobosz. To też opływał we wszystko. Najbardziej lubił chodzić razem ze swym przyjacielem i opiekuncem, Józwiakiem, do gospody na rogu. Ciągnęło go tam nietylko dobre jedzenie i życzliwi gospodarze, ale przede wszystkim liczna gromadka dzieci, jakie uwijały się po izbach i podwórzu. A mały dobosz był wprawdzie żołnierzem, mającym za sobą setki przewędrowanych mil i srogie bitwy, — ale przede wszystkim był dzieckiem i ciągnęło go do dzieci.

Najstarszy syn właściciela gospody, chudy Franek, nie mógł się dość nasłuchać przedziwnych opowieści małego dobosza. Toteż kiedy dwaj goście, duży i mały zjawili się nad wieczorem w gospodzie, Józwiak został w izbie, przy szynkwasiu, a dobosza dzieci wyciągnęły na podwórze, do szopki, założonej sianem. Tam było najlepsze miejsce.



HENRYK DĄBROWSKI

W izbie tymczasem pani Maciejowa, pocziwa i gruba, podawała gościom napitki i jadło, korzystając z każdej wolnej chwili, żeby się przysiąć do Jóźwiaka i pogadać z nim o małym doboszu.

— Moiściewy, żal mi niebożątka! Tyli świat się tyrać! Na srogiego żołnierza się to wystroiło, ale przecie to dziecko! Tak bez matki po świecie wędrować! Zostawilibyście go u mnie, niczego by mu tu nie zabrakło!

Jóźwiak aż się poderwał na ławie.

— O, moja pani Maciejowa! Nie dałbym ja chłopca za nic na świecie!

Albo to mu źle u nas? I jakżeby tak, bez dobosza?

— Innego sobie poszukacie.

— Innego? Łatwo się pani powiada! Już taki żaden nie będzie! Jakże, od początku, od pierwszej kampanji razem z nami!

Pani Maciejowa wysłuchiwała dobrze znanej, a zawsze jednakowo interesującej historii o tem, jak w dalekich Włoszech, w Lombardji, oddziałek Legjonów natknął się w zajeździe wiejskim na małego chłopca polskiego, który nie potrafił powiedzieć o sobie ani swoich rodzicach, wiedział tylko że pomarli



UŁANI LEGJI NADWIŚLAŃSKIEJ

oboje na zaraźliwą chorobę. Chłopca przygarnął właściciel zajazdu, nie z litościwego serca, tylko by mieć nie kosztującą wyrękę i pomoc. Józwiakowi głos drżał z oburzenia kiedy mówił o sińcach, jakimi było pokryte ciało chłopca, którego „pan” tłukł i wymyślał przy każdej okazji. Legjoniści niewiele się namyślali — zabrali małego, który wiedział tylko tyle, że nazywa się Janek i że niema nikogo bliskiego na świecie. Malec przeżył całą kampanję włoską, wszystkie dole i niedole żołnierzy polskich na obczyźnie. Dumny był ze swojego munduru, dumny z tego, że kiedyś rozmawiał z samym generałem Dąbrowskim.

Potem, kiedy utworzono Księstwo Warszawskie, oddziałowi Józwiaka przypadła służba w kraju. Mały Janek brał udział w wyprawie galicyjskiej, kiedy książe Józef wyruszył przeciwko Au-

strii. W bitwie pod Raszynem został ranny w rękę — lekka to była rana i nie niebezpieczna, wygoiła się szybko. Ale Janek otrzymał pochwałę z ust księcia Józefa. Józwiak był z tego bardziej dumny, niż z odznaczenia, które sam otrzymał za męstwo.

O małym doboszu wiadano już w całej armji — inne oddziały zazdrościły temu, który go miał w swych szeregach. Toteż Józwiak był zupełnie nieczuły na biadolenia pani Maciejowej, która od dłuższego czasu namawiała go, żeby zostawił u niej małego wojaka. Nie wyobrażał sobie, jak oddział mógłby się bez niego obejść.

— W tylachny świat chcecie ciągnąć dziec-



KS. JÓZEF PONIATOWSKI

ko! Rosja przecie! Na zimna, na mrozy!

— Ech, nie zaszkodziły mu włoskie gorąca, nie zaszkodziły i rosyjskie zimna! — odpowiedział gniewny trochę Józwiak. — Co to pani sobie myślisz, jak kwoka chcesz go pod skrzydełka zagarnąć, a to nie kurczę!

— Moim u mnie dobrze, i jemu by też krzywdy nie było!

— Panine dzieci, jak dzieci! Na przypiecku siedzą, i rade! Ale to przecie wojak! Ranny był pod Raszynem!

— Wiem ci ja to, wiem — wzdychała pani Maciejowa. — Ale zawsze...

Gdzieś za oknami zadudniły kroki maszerującego oddziału. W szyby bił blask ogni rozłożonego biwakiem na placu wojska. Nie mogło się wszystko pomieścić po koszarach i budynkach — obozowano pod gołym niebem. Józwiak patrzył na te krwawe blaski i pociągał wolno przedni miód z piwniczki pana Macieja.

— Tyra się to i tyra, już tak długo... Spoczęłoby sobie wreszcie... — odezwiała się znów niechęć skapitulować pani Maciejowa.

— Ech, gadanie i gadanie! — rozgniewał się Józwiak. — Co mnie pani głowę suszy, niech się pani Janka zapyta!

Akurat zadudniły w sieni kroki i weszły dzieci z małym dobozem na czele. Franek miał czerwone wypieki na twarzy. Jakże, przecież Janek opowiedział im dokładnie, jak to było pod Raszynem, jak rozmawiał z samym księciem Józefem!

— Późno, Jasiu — odezwiała się pani Maciejowa. — Gadam ja tu z pa-



PULK GRENADJERÓW KS. WARSZAWSKIEGO

nem Józwiakiem jako żeś się już tyle po świecie natyrał, czyby nie było dobrze, żebyś teraz pod oną Moskwę z żołnierzami nie ruszał, tylko u mnie został...

Mały dobosz w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi.

— Jakto?

— Ano tak... Żle ci to tu będzie?

Chłopak zerwał się i przyskoczył do Józwiaka.

— Ty mnie chcesz zostawić, ty? Żeby cesarza Napoljona nie widział, żeby już księcia Józefa nie zobaczył, żeby mi bęben odebrali, żeby pod pierzyną siedział, a wy sobie na wojnę ruszycie?

Stary żołnierz zamachał rękami.

— Nie krzycz, nie krzycz! Pani Maciejowa tak sobie umyśliła, jej powiedz!

Mały dobosz poczerwieniał.



POWITANIE

— Pani Maciejowej ja pięknie dziękuję za dobre serce, ale nie zostanę! Dobosz musi w oddziale być! I jak mnie Jóźwiak w Lombardji znalazł, tak do końca z nim ostanę, póki się wszystkie wojny nie skończą! Dopiero wtedy sobie gospodarkę kupimy i będziemy gospodarzyć!

Pani Maciejowa uśmiechnęła się przez łzy.

— Ano, to już niema rady, jakieś taki uparty... Trudno...

Zdaleka zadźwięczała trąbka. Żołnierze, siedzący na ławach poderwali się.

— Ape! czas na nas!

Zegnali się, opuszczając gospodę. Pani Maciejowa wyszła na próg. Rychło zniknęły w mroku dwie sylwetki — duży i mały żołnierz, idący razem, zgodnie w krętą uliczkę. Ale pani Maciejowej zdawało się, że nie idą oni na zbiórkę swego oddziału. Że tak zgodnie, ręka w rękę, ramię w ramię, wędrują dalekim szlakiem w nieznane, rosyjskie ziemie, na niewiadome walki i bitwy, na nieznane przygody. Stary wiarus i mały dobosz.

Westchnęła cicho i zawróciła do izby.

ROK 1812

O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!
 Ciebie lud zowie dotąd rokiem urodzaju,
 A żołnierz rokiem wojny; dotąd lubią starzy
 O tobie bając, dotąd pieśń o tobie marzy.
 Zdawna byłeś niebieskim oznajmiony cudem
 I poprzedzony głuchą wieścią między ludem;
 Ogarnęło Litwinów serca z wiosny słońcem
 Jakieś dziwne przeczucie, jak przed świata końcem,
 Jakieś oczekiwanie tęskne i radosne.

Kiedy pierwszy raz bydło wygnano na wiosnę,
Uważano, że chociaż zgłodniałe i chude,
Nie biegło na ruń, co już umaiła grudę,
Lecz kładło się na rolę, i schyliwszy głowy,
Ryczało, albo żuło swój pokarm zimowy.

I wieśniacy, ciągnący na jarzynę pługi,
Nie cieszą się, jak zwykle, z końca zimy długiej,
Nie śpiewają piosenek, pracują leniwo,
Jakby nie pamiętali na zasiew i żniwo.
Co krok wstrzymują woły i podjezdki w bronie,
I poglądają z trwogą ku zachodniej stronie,
Jakby z tej strony miał się objawić cud jaki,
I uważają z trwogą wracające ptaki.
Bo już bocian przyleciał do rodzinnej sosny
I rozpiął skrzydła białe, wczesny sztandar wiosny;
A za nim krzykliwemi nadciągnawszy pułki,
Gromadziły się ponad wodami jaskółki,
I z ziemi zmarzłej brały błoto na swe domki.
W wieczór słychać w zaroślach szept ciągnącej słomki,
I stada dzikich gęsi szumią ponad lasem,
I znużone na popas spadają z hałasem,
A w głębi ciemnej nieba wciąż jęczą żorawie.
Słyszac to nocni stróże, pytają w obawie,
Skąd w królestwie skrzydlatem tyle zamieszania,
Jaka burza te ptaki tak wcześniej wygania.

Aż oto nowe stada, jakby gilów, siewek,
I szpaków, stada jasnych kit i chorągiewek
Zajaśniały na wzgórkach, spadają na błonie.
Konnica! Dziwne stroje, niewidziane bronie!
Pułk za pułkiem, a środkiem, jak stopione śniegi,
Płyną drogami kute żelazem szeregi;
Z lasów czernią się czapki, rząd bagnetów błyska,
Roją się niezliczone piechoty mrowiska.

Wszyscy na północ! Rzekłbyś, że w on czas z wyraju
Za ptactwem i lud ruszył do naszego kraju,
Pędzony niepojętą, instynktową mocą.

Konie, ludzie, armaty, orły, dniem i nocą
Płyną; na niebie gorą tu i ówdzie luno,
Ziemia drży, słychać, biją stronami pioruny. —

Wojna! wojna! Nie było w Litwie kąta ziemi,
Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiedzy ciemnymi
Puszczami chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli nie wyrzawszy za lasu granice,
Który innych na niebie nie rozumiał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi prócz bestyi ryków,
Gości innych nie widział oprócz spółleśników, —

Teraz widzi, na niebie dziwna łuna pała,
W puszczy łoskot: to kula od jakiegoś działa
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
Rwąc pnie, siekąc gałęzie. Żubr, brodacz sędziwy,
Zadrżał we mchu, najeżył długie włosy grzywy,
Wstaje nawpół, na przednich nogach się opiera,
I potrząsając brodą zdziwiony spoziera
Na błyskające nagle między łomem zgliszcze:
Był to zbłąkany granat, kręci się, wre, świszczce,
Pękł z hukiem jakby piorun; żubr pierwszy raz w życiu
Zląkł się i uciekł w głębszem schować się ukryciu.

Bitwa! Gdzie? w której stronie? pytają młodzieńce,
Chwytają broń, kobiety wznoszą w niebo ręce,
Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!

(„Pan Tadeusz”) Adam Mickiewicz

POD ŁUKIEM TRIUMFALNYM

Generał Kniaziewicz zatrzymał się przed Łukiem Triumfalnym. Wysoki i postawny, w mundur opięty. Głowa dogóry, choć już dawno owiana siwym włosem.

Łuk Triumfalny zaczął stawiać Napoleon na pamiątkę swych zwycięstw. Dokończyli budowy jego następcy.

Generał Kniaziewicz przyszedł obejrzeć pomnik sławy ukochanego cesarza.



NAPOLEON POD MOŻAJSKIEM

Mal. B. Wereszczagin

Wszedł pod wysokie sklepienie. Na ścianach zobaczył napisy. Bardzo wielkimi literami wyliczone miejsca bitew, nieco mniejszymi nazwiska wodzów.

Nazwiska tych, którzy polegli na polu bitwy — podkreślone. Z naszych bohaterów: Poniatowski, który utonął w Elsterze i Sułkowski, który zginął w Egipcie.

— A tu Chłopicki, Dąbrowski, Zajączek...

Generał Kniaziewicz znalazł też siebie.

Potem odszukał, wyryte w kamieniu, na zawsze pamiętne miejsca: Pułtusk, Ostrołęka, Mohylów, Smoleńsk.

Także wiele miast niemieckich i włoskich. Szedł tam za cesarzem, jak inni, w nadziei, że odzyska ojczyznę. Wszędzie się krew polska lała...

Wśród tych smutków zjawiał się nagle uśmiech. Bowiem generał przeczytał:

— „Rzym” — to moje najlepsze czasy. A teraz pan Adam o mnie pisze... Przypomina, jak to z Kapitolu wydawałem rozkazy. Bo i prawda! Zdobyłem i rzuciłem w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów! Już tak dawno! Byłem jeszcze młody.

Sięgnął do kieszeni, wyjął tabakierkę. Wymalowana na niej twarz była również młoda i bardzo piękna. To



SZARŻA

mal. W. Kossak

twarz Bonapartego, wówczas dopiero generała. Ofiarował ją Kniaziewiczowi na znak przyjaźni i w dowód uznania.

Ręką dotknął piersi. Na czerwonej wstążce wisiał kawalerski krzyż legji honorowej. Sam cesarz na szyi go zawiesił.

Niedawno temu generał Kniaziewicz przybył do Paryża prosić Francję



ODWRÓT WIELKIEJ ARMJI

Mal. W. Kossak

o zbrojną pomoc dla powstania. Pomocy tej nie otrzymał. Został jednak tutaj. Do kraju, zajętego już przez nieprzyjaciela, wracać nie mógł. Przybyli też inni Polacy. Ci, którzy nie chcieli złożyć Moskalowi broni, wybrali dobrowolne wygnanie.

Przez Niemcy szli — jechali gromadnie do Francji. Zwyciężeni witani byli wszędzie jak zwycięzcy. Cały świat miał podziw dla ich odwagi i męstwa.

Generał Kniaziewicz ciężko westchnął, odchodząc od Łuku Triumfalnego.

— Tyle krwi, tyle młodego życia, czyż poszło na marne? Ja Polski wolnej nigdy nie zobaczę.

Nie zobaczył. Wkrótce potem umarł jako 80 letni starzec. Prosił, aby go pochowano obok Jana Ursyna Niemcewicza¹⁾. Kolega to był szkolny i wielki przyjaciel.

Obaj leżą w Montmorency, pod Pa-

ryżem. Cmentarz ten stał się z biegiem lat polskim cmentarzem. Bohaterowie listopadowego powstania znaleźli tam pośmiertny przytułek.

Blisko wiek upłynął od tego czasu. Ale pozostały wyryte w kamieniu imiona naszych bohaterów. Tych, którzy pod Napoleonem walczyli o wolność ojczyzny.

Aura Wyleżyńska



ZOŁNIERZE NAPOLEOŃSCY

1) Autor „Śpiewów historycznych”.

— Niebawem! Spójrz na tę kartę.

Dwaj uczniowie zatrzymali się przed Belwederem i przeczytali: „mieszkanie do wynajęcia”.

Zbyszek roześmiał się głośno i dodał:

— Świetny kawał.

Ale Wojtek pociągnął towarzysza za rękę, a gdy oddalili się od bramy, na której bieląła dziwna kartka, mruknął:

— W tem coś jest.

Zbyszek spojrzał zdziwiony.

— Jakto? Ktoś zrobił kawał poprostu, przecież tam mieszka Konstanty.

— Właśnie. A ja już kilka razy widziałem taki napis na tej bramie, to pisze ktoś, kto nie chce, żeby on tu mieszkał.

— Dużo osób tego nie chce — dodał Zbyszek, ale obejrzał się trwożnie po tych słowach.

Na szczęście nikt nie szedł za nimi. Było cicho, mżył deszcz, jesienne liście spadały na ziemię.

Przeszli koło Podchorążówki w Alejach Ujazdowskich.

— Mój brat Janek jest w Podchorążówce, spytam go się w niedzielę, kiedy przyjdzie do domu, czy widział tę kartkę — szepnął Wojtek.

Ale Janek w niedzielę nie mógł przyjść. Dopiero po dwóch tygodniach spotkali się bracia. Młody podchorąży źle wyglądał, zdawało się, że schudł, ale minę miał zawadającą i wesołe spojrzenie. Przy kolacji zaczęto mówić o polityce. Przyszedł stary pan Marcin, który od śmierci syna wstrząsał się cały, słysząc imię Konstantego. Jego syn odebrał sobie życie, bo W. książę podczas przeglądu wojsk zerwał mu i podeptał krzyże i orderzy napoleońskie.

— Gadzina — syczał, słysząc imię Konstantego.

— Już niedługo jego rządów — powiedział z uśmiechem Janek i zamienił



NA MOŚCIE W ŁAZIENKACH



NAPAD NA ARSENAŁ

porozumiewawcze spojrzenie z ojcem i kilkoma młodymi ludźmi.

— A ja czytałem taką śmieszoną kartkę na Belwederze — wyrwał się Wojtek — mieszkanie do wynajęcia.

Nikt się nie roześmiał, znów porozumiewawcze spojrzenia.

— Oni coś knują — myślał Wojtek.

Przez dwa tygodnie w domu działały się dziwne rzeczy. Do ojca przychodzili jacyś nieznajomi, zamykali się w pokoju na długie, tajemnicze rozmowy. Matka miała czasem łzy w oczach, Janek przyniósł kiedyś o zmroku trzy duże strzelby i surowo nakazał Wojtkowi, aby o tem nikomu nie mówił. Ciągłe ktoś przychodził, czasem przynoszono coś pod paltem, szeptano po kątach, ale wszystko zniknęło, gdy Wojtek wchodził do pokoju.

Chłopiec czuł się z tem źle, widział, że ukrywają coś przed nim, a miał już przecież 13 lat.

W niedzielę znów przyszedł Janek, szepnął coś ojcu i matce i usiadł do stołu.

Wojtek już nie mógł wytrzymać.

— Ja też chcę wiedzieć — rozplakał się. — Wy wciąż coś przedemną ukry-

wacie, ja przecież nie jestem „papla”, my przecież mamy tajne kółko w szkole i tak mi przykro.

Spojrzeni na siebie rodzice, spojrzeli na Janka. Ojciec kiwnął głową i Janek odezwał się.

— Daj słowo honoru, że dotrzymasz tajemnicy.

— Daję słowo honoru — uroczyście powiedział Wojtek.

— A więc ma wybuchnąć powstanie. Dużo wojskowych i dużo cywilnych jest w to wciągniętych. Wojskowi napadną na Belweder, cywilni rozbiją Moskali na mieście. Hasłem będzie pożar browaru na Solcu, odpowiedzią — pożar na Nowolipiu. Ty staniesz koło pomnika Sobieskiego i będziesz uważał, czy nie idzie policja albo wojsko. Może będziesz potrzebny, żeby zanieść wiadomość innej grupie, na małego chłopca nikt nie zwróci uwagi. Czy rozumiesz, jak bardzo musisz strzec tajemnicy? Czy chcesz nam pomóc?

— O tak, przysięgam wam służyć. A kiedy to będzie?

— 29 listopada — cichutko wyszeptał Janek.

— A więc za kilka dni!!!

I nagle wszystko zaczęło przybierać kształt wielkiej cyfry 29; rysowała się ona na oknie, krzesła zdawały się zmieniać w dwójki i dziewiątki, rzeźby na kredensie też wyglądały jak 29. Janek i rodzice siedzieli cicho, zamyśleni. Ktoś zastukał do drzwi. Zaczęła się schodzić młodzież, przeważnie studenci, pod kurtkami przynosili broń. Spuszczono rolety w oknach.

Jak szybko minęło tych parę dni. Szkoła podchorążych pod wodzą swego nauczyciela, Piotra Wysockiego, była ogniskiem spisku. Wielki książe nie wiedział, że w tych przyszłych wojakach, których pragnął wychować na chwale Rosji, ma najstraszniejszych wrogów.

29 listopada. Coś się gotowało w mieście. Dziwny nastrój panował w Warszawie. O wczesnym zmroku wybuchł pożar na Solcu, ale zgasł za wcześniej, przed godziną szóstą. Nie można było przeszkadzać straży ogniowej, by nie wzbudzić podejrzeń. Zdezorientowani spiskowcy nie zapalili szop na Nowolipiu. Podchorążowie czekali na moście Łazienkowskim. Drogocenne chwile mijały, było już zupełnie ciemno. Wreszcie Wysocki zrozumiał, co się stało, zgromadził swój oddział, który z okrzykiem: „Śmier tyranowi!” wpadł do Belwederu. Ale Wielki Książe, uratowany przez kamerdynera, zdołał ukryć się, a potem uciec. Napróżno spiskowcy szukali go — zniknął. Wysocki wrócił do szkoły.

— Polacy! — zawołał. — Godzina zemsty wybiła! Dziś zwyciężymy, albo polegniemy!

Podchorążym rozdano broń i naboje, z okrzykami radości ruszyli na miasto.



NA WEDECIE

mal. St. Bagieński

Tu już ludność cywilna rozbrajała Moskali. Zatrzymywano zamknięte karety, szukano (niestety dopiero teraz) wodza.

Wojtek spotkał w tłumie na Senatorskiej Zbyszka. Ten pędził jak szalony, mimo że na ulicy strzelano. Wojtek złapał go za rękę.

— Wiesz już, co znaczyła ta kartka na Belwederze? — spytał.

— Zwyciężymy! — powiedział ktoś w tłumie.

— Nie jesteśmy dość dobrze przygotowani — odezwał się inny głos. — Chłopi za mało wiedzą o powstaniu. Rosjanie mają silną armję.

— Też kracze — zawołał Zbyszek.

— Chodźże, chodź, co będziesz tego słuchał! — pociągnął go za rękaw Wojtek.

— Niema teraz czasu na gadanie!

— Pewnie! Biegnijmy, i my się też na coś przydamy!

E. Wolpertówna

CZWARTACY

Hej, gwarnie dziś i tłumnie
na staromiejskiej ulicy:
Rynkiem przechodzą w kolumnie
warszawscy ochotnicy.
Wszyscy chowali się tu,
tu wyrosli, na Starem Mieście.
Samych Janków przynajmniej stu,
samych Wicków chyba ze dwieście!
Ten od krawca, ten od szewca,

tamten od kuśnierza —
w jednej chwili się zmienili
z chłopaka — w żołnierza.
Każdy tu, bracie, głowę wgórę!
Każdy wyciąga szyję!
Bo skromnie mówiąc
(fachu nie chwając)
kuśnierz fest skroi skórę Moskalom,
a szewc im buty uszyje.

Hej, tłumy, tłumy na Rynku!
Tyle śmiechu — i tyle szlochu...
Prosto od pracy
stoją czwartacy
w ordynku.
Jutro wyruszą pod Grochów...

JAK DZIECI NAPRAWIAŁY HISTORIĘ

Inscenizacja z nowelki Gustawa Daniłowskiego p. t.:

REHABILITACJA

O S O B Y:

PAN PIOTROWICZ	— Radziwiłł	ELŻUNIA	— Prądzyński
KUBUŚ	— Żymirski	WICEK	— Roland
STEFANEK	— Bogusławski	ADAŚ	— Szembek
STACH	— Chłopicki	IGNAŚ	— Małachowski
MICHAŁEK	— Adjutant I	MYRYS	— Rosen
FELEK	— Adjutant II	PAWELEK	— Dybicz
ANTOŚ	— Skrzynecki	Adjutant ks. Radziwiłła	
WŁADZIO	— Krukowiecki	Żołnierze polscy	
ZBYSZEK	— Łubieński	Żołnierze rosyjscy	

*Scena przedstawia obszerną polanę, za-
rośniętą tu i owdzie krzakami i młodym
zagajnikiem. Pośrodku polany, na ścię-
tym pniu siedzi nauczyciel kolonji, pan
Piotrowicz. W chwili odśłonięcia kurty-
ny na polanę wchodzi gromada dzieci,*

*niosąc drewniane pałasze, witki brzozo-
we, chorągiewki, pistolety z kapiszonami
i inne przedmioty. Kilkoro dzieci
wlecze pieńki drzew, do których doro-
biono papierowe wyloty, aby naślado-
wały armaty.*

PAN PIOTROWICZ: Cóż to za wojna?
Dzieciaki, co macie zamiar robić
z tym arsenałem?

STACH (*wysuwając się naprzód*): Bo
myśmy, proszę pana, postanowili zro-

bić bitwę pod Grochowem. Pan nam
tyle opowiadał o powstaniu listopa-
dowym, że doskonale pamiętamy
i możemy odegrać tę walkę zupeł-
nie tak samo, jak było w historii.

ADAŚ: Dlatego przygotowaliśmy sobie tę broń (*dzieci składają oręż u nóg nauczyciela*). O, niech pan patrzy: tu są pałasze, a tu armaty. A w itkami będziemy się bili, bo to nie będzie bolało.

PAN PIOTROWICZ: Pięknie, moi kochani, ale czy naprawdę potraficie odtworzyć przebieg bitwy pod Olszynką?

STACH: Właśnie chcieliśmy pana prosić o pomoc. Pan będzie dowódcą Radziwiłłem, dobrze?

PAN PIOTROWICZ (*śmiejąc się*): Dobrze, ale pamiętajcie, że będę czuwał, aby wszystko odbyło się tak, jak niegdyś naprawdę.

ADAŚ: To będzie świetnie. Jak tylko zrobimy jakiś błąd, pan zwróci nam uwagę.

PAN PIOTROWICZ: Wybierzemy więc miejsce, na którym rozegra się walka (*wstaje z pieńka i rozgląda się wokoło*). A wiecie, że ta polanka dobrze się nadaje: ten zagajnik przypomina Olszynkę. A teraz musimy podzielić role. Kto z was chce grać role wodzów rosyjskich: Dybicz i Rozena?

DZIECI (*chórem*): Ja nie chcę! My też nie chcemy! Ani ja, ani ja!

PAN PIOTROWICZ: Ktoś przecież musi ich role zagrać! Ale powiedzcie mi, dlaczego nie chcecie?

GŁOSY Z GROMADKI: Bo oni bili naszych! Bo to nasi wrogowie!

PAN PIOTROWICZ: Ale za to wroga armja poniosła straty, równające się klęsce, moi kochani!

PAWELEK (*powoli, ociągając się*): No... to dobrze... ja... będę... Dybiczem.

PAN PIOTROWICZ: Doskonale, Pawełku. A kto zgodzi się być Rozenem? (*Dzieci milczą*) Może ty, Myrysiu, jesteś przecież rozsądnym chłopcem?

MYRYŚ (*niechętnie*): Jeżeli trzeba koniecznie, to trudno! (*z determinacją*) Dobrze!

PAN PIOTROWICZ: Pozostaje nam wybrać polskich wodzów. A więc przede wszystkim wódz IV-go pułku, generał Bogusławski.

DZIECI (*z zapalem*): Ja proszę pana... Nie, nie, to ja będę... Proszę pana ja



JAN SKRZYNECKI

chcę, on się do tego nie nadaje... Drogi, kochany panie, ja proszę! (*ogólny krzyk*).

PAN PIOTROWICZ: Ależ dzieci, w ten sposób nie dojdziemy do porozumienia. Najlepiej zrobimy losowanie. Na kartkach napiszemy nazwiska generałów, kartki puste oznaczać będą żołnierzy. Jakiegokolwiek nazwisko wyciągniecie, musicie zgodzić się na nie bez szemrania.

DZIECI: Hurra! niech żyje nasz pan! (*Dzieci przynoszą kartki, nauczyciel pisze i miesza losy*).

PAN PIOTROWICZ: No, teraz wyciągajcie. Spokojnie, nie tłóczcie się, dla każdego jest kartka. (*Dzieci wyciągają kolejno i wołają*):

I DZIECKO: Pusta kartka! Będę żołnierzem.

II DZIECKO: Pusta!

III DZIECKO: Pusta!

KUBUŚ (*z dumą*): Żymirski! (*wypina brzuszek i obciąga kurtkę*).

(*Kilkoro dzieci wyciąga kolejno puste kartki*)

STEFANEK (*odczytawszy kartkę pocichu, tańczy wkołko z radości, potem krzyczy*): Bogusławski! Wódz Czwar-

taków! (*jika kozła, poczem chwyciwszy widły, staje w pozycji do ataku i woła*): Mierz wolno, wybieraj oficerów, a celuj w sam łeb, chciałeś rewolucji, to nie chybiał, bo bieda będzie!

STACH (*z powagą*): Chłopicki!
(*Znów dzieci wyciągają szereg pustych kartek*)

ELŻUNIA (*czyta swoją kartkę*): A ja mam być Prądyński!

CHŁOPCY (*protestując*): Proszę pana, to nie dla dziewczyny. Także mi Prądyński w spódnicy i z jasnemi warcokzykami.

ELŻUNIA (*z gniewem*): Ja jestem skautką, proszę pana, ja umiem ułożyć plan walki. Dlaczego tylko chłopcy mają być wodzami?

PAN PIOTROWICZ: Tak, chłopcy! Elżunia jest dzielną dziewczynką, a przytem, czyż nie pamiętacie, że w powstaniu listopadowem brała udział kobieta — Emilja Plater.

DZIEWCZYNKI (*wołają*): Wiwat Elżunia — wielki wódz Prądyński!

STEFANEK (*podbiegając do Elżuni*): Tylko pamiętaj, nie zrób nam wstydu, bo będziesz miała ze mną do czynienia!

WICEK (*wyciągając kartkę*): Będę Rolandem.

ADAŚ (*j. w.*): Szembek.

IGNAŚ (*j. w.*): A ja jestem Małachowskim!

(*Reszta dzieci nie zwraca uwagi na te nazwiska*)

IGNAŚ (*do nauczyciela*): Proszę pana, przecież Małachowski to był dzielny wódz, prawda?

WICEK: I Roland też. Niech im pan powie!

PAN PIOTROWICZ: Naturalnie, dzieci. Generał Małachowski odznaczył się wielkiem męstwem w walce pod Białoleką, a Roland przez długi czas trwał mężnie na czele swej brygady w Olszynie, odpierając ataki Moskali.

ANTEK (*wyciągając kartkę*): Skrzynecki jestem!

ELŻUNIA (*złośliwie*): Nie winszuję. Nie chciałeś mnie słuchać i wyszedłeś, jak Zabłocki na mydle.

ANTEK: Jak tam było, to było — nie bój się, jakby poszło naprawdę, to bym pokazał, co umiem, a zresztą (*prostuje się dumnie*) w każdym razie dyktator, to nie to, co kwatermistrz!

WŁADZIO (*czytając kartkę, ze spuszczoną głową*): Krukowiecki.

ZBYSZEK (*z ustami w podkówkę, jak do placzu*): Łubieński.

STEFANEK (*skacząc koło nich mruczy*): Mały!

WŁADZIO i ZBYSZEK (*razem*): My nie chcemy, proszę pana! To byli źli generałowie, przez nich Polacy przegrali!

PAN PIOTROWICZ: Bądźcie rozsądni. Umówiliśmy się, że każdy z was zgodzi się na swój los bez szemrania. Zresztą, to tylko zabawa. Wiemy wszyscy, że gdyby wypadło wam bronić naprawdę Ojczyzny, byłibyście dzielnymi żołnierzami. (*Zbyszek i Władzio odchodzą nabok, przygnębieni*). No, a teraz, kiedy już wszyscy zostali wybrani, rozpoczniemy walkę.

STACH: Proszę pana, ja, jako Chłopicki, muszę mieć jeszcze dwóch adjutantów. Czy mogę wybrać Michałka i Felka, bo oni szybko biegają?

PAN PIOTROWICZ (*wstając z pnia*): Dobrze. A teraz Dybicz i Rozen wraz ze swymi żołnierzami niech staną na prawo. (*Pawełek i Myrys zbierają garstkę dzieci i przechodzą na prawą stronę sceny*). Naprzeciw nich po lewej stronie dywizja generała Skrzyneckiego. Chodź tu Antosiu ze swym oddziałem. Dywizja Żymirskiego w tej samej linii ustawi się dalej. (*Kubuś na czele oddziału staje na wyznaczonem miejscu*). Roland musi stanąć przy dywizji Skrzyneckiego. Szembek będzie bronił prawego skrzydła. Tak, Adasiu, stań tam, za Żymirskim, bardziej na prawo. Chłopicki z adjutantami staje między dywizją Żymirskiego i Szembeka. Bogusławski przy nim. Doskonale. Teraz ja, jako Radziwiłł, umieszczę się na tyłach armji, a przedemną na uboczu generałowie Łubieński i Krukowiecki.

(*rozgląda się*)

Tak, wszystko dobrze. Zaczynamy. .
(*Rozlega się huk wystrzału, walka się rozpoczyna; odrazu wysuwają się na przód Zbyszek i Władzio*).

Zbyszek i Władzio na miejsca. Czy nie pamiętacie, że Krukowiecki i Łubieński nie brali udziału w walce?
(*Walka trwa. Na czoło wysuwa się Stefanek*).

STEFANEK: Mierz wolno, wybieraj oficerów, a celuj w sam łeb, chciałeś rewolucji, to nie chybiaj, bo bieda będzie!

(*Strzela kapiszonami, łamie witkę i wypiera Dybicza z Olszynki, wreszcie zabiera armaty wroga*).

ELŻUNIA (z oburzeniem): Proszę pana, Stefanek nie zwraca wcale uwagi na historję, przecież to ja, Prądyński zdobywa armaty, a nie Bogusławski.

STACH: On się tak zachowuje, jakby sam był Chłopickim!

PAN PIOTROWICZ: Stefan! wracaj do szeregów. Roland i Żymirski walczą teraz, a Chłopicki dowodzi.

(*Stefanek posłusznie wraca na dawne miejsce, walka wre dalej*).

STACH (*do żołnierzy*): Nie damy rady, by walczyć z całą armją Dybicza. (*woła*) Adjutanci do mnie!

MICHAŁEK i FELEK: Czekamy na rozkazy pana generała!

STACH: Biegnijcie natychmiast po piechotę Krukowieckiego i jazdę Łubieńskiego!

MICHAŁEK i FELEK (*biegnąc do Władka i Zbyszka*): Na odsiecz! Pospieszajcie!

(*Władzio ze Zbyskiem zrywają się do biegu*).

PAN PIOTROWICZ: Stać! co macie odpowiedzieć, czy nie pamiętacie historii?

WŁADEK (*spuszczając głowę, niechętnie*): Czekamy na rozkazy naczelnego wodza.

MICHAŁEK (*wraca do Stacha i mówi*): Panie Generale! melduję, że generał Krukowiecki czeka na rozkazy naczelnego wodza, ks. Radziwiłła.

STACH (*podbiegając do nauczyciela*): Mości Książę, proszę o potwierdzenie



JÓZEF DWERNICKI

moich rozkazów, aby Krukowiecki i Łubieński pospieszyli na odsiecz.

PAN PIOTROWICZ (*poważnie*): Natychmiast pośle do nich adjutantów.
ADJUTANT KS. RADZIWIŁŁA: Co słyszać, panie generale na polu bitwy?

STACH: Dowidzenia waszmościom, jadę teraz zdobywać armaty!
(*wraca na pole walki, słysząc huk wystrzału*)

ELŻUNIA (*przypominając*): Masz tu fajtnąć! (*Stach pada na ziemię*) Panie Generale! Któż stanie teraz na czele, kiedy pan generał odniósł ciężką ranę?

STACH (*jęcząc*): Skrzynecki. Powiedz mu, ażeby całemi siłami uderzył na Olszynę i wydarł ją koniecznie Moskalom.

PAN PIOTROWICZ (*gwiżdże*): Dzieci! wódz jest ranny, teraz musi nastąpić zamieszanie. Armja polska zacznie się cofać.

(*Dzieci niechętnie się cofają. Korzystając z tego Pawełek wkracza do lasku*)

PAWEŁEK: Naprzód! teraz zwyciężymy! Generale Rozen, otoczcie ich z prawej strony!

(*dobiegają do środka sceny*)

WŁADZIO (z zapalem): Biegnijmy na odsiecz! Bij, zabij! Krukowiecki pokaze Moskałom, co potrafi! (biegnie ku wrogom)

ZBYSZEK: I Łubieński również! Dalej na wroga!

(Obaj chłopcy biją na prawo i lewo witkami, wrogowie rozbiegają się. Władek przewraca Pawełka i bije go, Zbyszko gniecie kolanami krzyczącego Myrysia)

PAN PIOTROWICZ (biegnąc przez krzaki): Co to jest? puście ich! (Władek i Zbyszek zrywają się)

PAWELEK (podnosząc się z wolna i płakując): To wbrew umowie!

MYRYŚ (płacząc i trzymając się za głowę): Tak nie wolno!

DZIECI (chórem): Tak, to wbrew ugodzie, nie tak stoi w historii!

PAN PIOTROWICZ (surowo do Władka i Zbyszka): Patrzcie, coście z nich porobili! Przedewszystkiem jakim prawem ruszyliście się z miejsca? Wiecie przecież, że ani Krukowiecki, ani Łubieński nie przybyli na odsiecz.

WŁADZIO (z zapalem): My nie jeste-

śmy tacy, byśmy jak oni, pozwolili zdobyć Olszynkę!

ZBYSZEK (nadąsany): My nie jesteśmy małpy!

PAN PIOTROWICZ (patrzy na chłopców bezradnie, potem zwraca się do dzieci, głosem łamiącym się ze wzruszenia): Ale jednak powinienem ich ukarać za poturbowanie kolegów. Dzieci, co mam im za to zrobić?

(chwila ciszy)

STEFAN (woła): Tęgo się spisali! wgóre ich!

WSZYSCY (chórem): Wgóre!!!

(Starsi chłopcy chwytają ich na ramiona i niosą, za nimi biegną wszystkie dzieci, nie wyłączając płaczącego jeszcze Pawełka i kulejącego Myrysia)

WSZYSCY (chórem): Wiwat! Niech żyją! Wiwat!

(Pochód dzieci wychodzi za kulisy)

PAN PIOTROWICZ (sam): Dzieci!

Drogie, kochane dzieci! Mali bojownicy o wolność! Oto, jak dzieci polskie naprawiają błędy występnych wodzów, tworzą nową, bohaterską historję!

WOJSKO POLSKIE W 1830 R.

Stan prawdziwej doskonałości, do jakiej doprowadzone zostało wojsko polskie Królestwa Kongresowego w roku 1830-ym, zawdzięcza ono z jednej strony niestrudzonej czynności i straszliwej surowości cesarzewicza Konstantego, naczelnego wodza, wybornego organizatora i jednego z najznakomitszych swego czasu znawców zawodu wojskowego, z drugiej zaś, znanemu, wrodzonemu Polakom duchowi wojskowemu, oraz rzadkiej gorliwości i wytrwałości całego wojska.

Surowość cesarzewicza przechodziła często w okrucieństwo, które doprowadzało oficerów i żołnierzy do rozpacz, oraz do częstych samobójstw. W wojsku polskiem wszystkie szarże pogrążone były w jednakowem uczuciu obawy względem naczelnego wodza. Gdy przypadkiem jaki porucznik uchybił rozka-

zom pułkownika lub generała, wypadek ten, choćby najbłahszy, mógł spowodować na obu tak przykre następstwa — że wszyscy: winowajcy wraz z tymi, którym uchybiono, łączyli swe usiłowania w celu ukrycia tego przed Wielkim Księciem. Jeżeli zaś zwierzchnik doniósł o takim przewinieniu władz wyższej, stawał zaraz pod pręgierzem całego korpusu oficerskiego i stawał się przedmiotem powszechnego oburzenia.

Dlatego, gdy po ucieczce Wielkiego Księcia (29 listopada 1830 r.), który sam jeden utrzymywał wszystko w porządku, zwierzchność wojskowa pozostała bez znaczenia i powagi. Nastąpiło rozprężenie. Wojsko polskie w r. 1830 było doskonale przygotowane do parad ustawicznymi ćwiczeniami, zresztą straszliwie udręczającymi, ale nie do wojny. Jego entuzjazm na czas krótki mógł



BITWA POD STOCZKIEM

zastąpić brak karność, ale nie na długo. Entuzjazm równie szybko znika, jak powstaje: pierwsze niepowodzenie go zabija!

Tem niemniej pięknie wyglądało naówczas wojsko polskie: piechota i ułani w mundurach granatowych, strzelcy konni i artylerja w zielonych, sztab znów łączył granat z karmazynem. Wszelkie ozdoby były srebrne. Niezmierna drobiazgowość przestrzegana była w rzeczach ubioru, na każdego poszczególnego żołnierza krawiec brał miarę, na każdy szczegół były przepisy. Ubiór był wogóle piękny, lecz niepraktyczny i wielce dla żołnierza niewygodny. Mundur paradny do tego stopnia krępował żołnierza swą obcisłością, iż już wejście na schody było trudnym wyczynem.

Ulubionym pułkiem Wielkiego Księcia był czwarty pułk linjowy piechoty, arcydzieło sprawności wojskowej. Cały szereg wydawał się jednym człowiekiem, mundury i wszelkie przybory jakby w jednej formie ulane. A przytem godność i pewność siebie malowała się na każdej żołnierskiej twarzy. Tembardziej pochwały godnem jest zachowanie w żołnierzu polskim z onego czasu poczucia godności własnej i szlachet-

nej dumy wobec żelaznej, dochodzącej do okrucieństwa dyscypliny wojskowej, która, zdawałoby się napozór, powinna była zatrzeć w żołnierzu polskim wszelką indywidualność i zamienić go raczej na bezduszną maszynę.

Oprócz zwykłych ćwiczeń frontowych były zaprowadzone w wojsku inne, pomocnicze, jak pływanie, fechtunek i t. p. Postępy w umiejętności pływania były zdumiewające, gdyż egzamin ostateczny szkoły pływania polegał na tem, by bez odpoczynku przepłynąć sześć razy wszcz. Wisłę pod Warszawą; albo też całe oddziały z bronią i w mundurach, mając na czele oficerów, powinny były dwa razy tę rzekę przepłynąć.

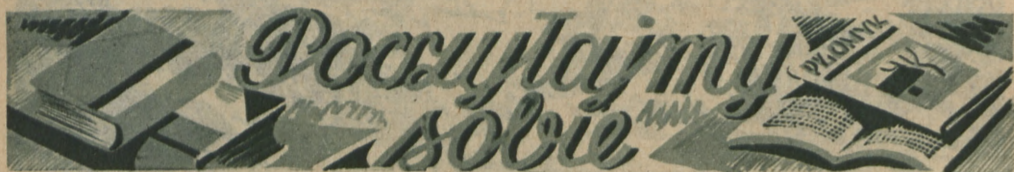
Żywy obrazek kreśli Goczałkowski, późniejszy oficer ułanów: popis pułku ułanów na dziedzińcu Saskim przed Wielkim Księciem: „Tęgo, tęgo! bardzo dobrze: zacierając ręce, klepiąc się w takt po udzie, wołał Konstanty, — a skoro się pluton sformował, obok księcia stojący, ciągle go salutujący, z ogromnym brzuchem, dowódca ułanów Tomicki, istna ironja lekkiej kawalerji, zakomenderował: „Do defilowania — galopem!” Muzyka zagrała galopadę i koń w konia z gracją, lekkością, nie dotykając prawie ziemi, rów-

nając się przytem w szeregach, najdokładniej puszcza się galopem! Już o jeźdźcach nie wspomnę, bo mi się nie ludzi z tego świata wydawali! Wtem trąbka dała sygnał. cały pluton schyla lance i w pół ucha końskiego, z krzykiem hurra! puszcza się do ataku; lecz za podwójnym znakiem — konie zaryły tylnymi kopytami w ziemię i jak dwa wyciągnięte sznury, najspokojniej pluton się zatrzymał. Uradowany książę galopem przypadł przed front, wołając: „Bardzo dobrze, dzieci, dziękuję”...

Artylerja polska, pomimo, iż Wielki Książę mniej się nią zajmował, doszła jednakże do prawdziwej doskonałości. Dała tego świetne dowody w powstaniu z roku 1830-go, walcząc z powodzeniem z artylerją nieprzyjacielską, bez porównania od niej liczniejszą i potężniejszego kalibru.

Poziom wojska polskiego z roku 1830 był wysoki, i raczej wina dowództwa, niż wojska, była przyczyną, iż powstanie listopadowe zawiodło.

Marja de Lavaux



Niezwykłe koleje życia Napoleona, od dzieciństwa na skalistej wyspie Korsyce do grobu na zagubionej wśród fal oceanu wyspie św. Heleny, oddawna stały się tematem dzieł naukowych i utworów dla pisarzy i poetów. Z dzieł, omawiających życie wielkiego Napoleona, możnaby utworzyć odrębną, bogatą bibliotekę. Przyjrzyjmy się tym książkom, które mogą być w bibliotekach szkolnych.

Oto mamy opowieść o młodym Napoleonie, otoczonym miłością i uwielbieniem, generale i konsulu, mamy walki we Włoszech, w Egipcie: to Teresy Jadwigi — Orle skrzydła. Prawie całą historję walk napoleońskich mamy ciekawie i przystępnie opowiedzianą w książce A. Gawińskiego p. t. Lolek grenadjer: jest to nadzwyczajny sen chłopca, który bierze udział w wojnie. Równie łatwo mówi o Napoleonie książka Anny Lewickiej: Za Napoleonem (z czasów Księstwa Warszawskiego). Więcej szczegółów znajdziemy w książce M. Markowskiej p. t. Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę..., tłem tego opowiadania są dzieje legionów od 1797 do 1815 r.

Dolą żołnierza polskiego pod wodzą Napoleona zajął się w swej twórczości Wacław Gąsiorowski; jego znakomity Huragan, książki: Rok 1809, Orleń, So-

mosierra — mówią o tych bojach na polskiej i na obcej ziemi. Możemy jeszcze do książek Przyborowskiego p. t.: Szwoleżer Stach, Berek pod Kockiem, Staszkievicza: Było to pod Smoleńskiem, Z. Morawskiej: Złota ostroga, M. Strebekowej: Dwunastoletni żołnierz — aby lepiej poznać ten ciekawy okres napoleoński. Przyda się też poznać niedokończoną powieść H. Sienkiewicza: Legjony. Specjalnie dla bi-



BEREK JOSELEWICZ

bljoteczek szkolnych zostały wydane książki Bilińskiego: Marsz, marsz, Dąbrowski! i Dąbrowski w Poznaniu. Ma- my jeszcze naukowe opracowania, np. Białyni: Legjony i wojska polskie w wojnach napoleońskich.

Możemy też spotkać się z książkami niekoniecznie w bibliotece szkolnej, drobniejszymi: Jezierskiego: Przygody młodego ułana i W wąwozach Samo- sierry, Bogusławskiej: Dziecko legjonu.

Cień wielkiego Napoleona padł na mnóstwo książek (Żeromskiego, Tetma- jera, Gąsiorowskiego i t. d.) — tu wspomnimy jeszcze o dwóch małych książeczkach, które dają nam poznać Napoleona, jakim przedstawiał się współczesnym i jaką pamięcią zostało otoczone jego imię: to Stefanji Jerwi- czowej — Madelon i Laury Konopnic- kiej Pytlińskiej — Wigilja Księcia Reichstadtu. *St. Kossuthówna*



We wtorek, 26 listopada od g. 12 min. 15 do g. 12 m. 35 audycja dla szkół i młodszych dzieci p. t.: „Śpie- wajmy piosenki”. Pewnie nie tylko mło- dsze lecz i starsze dzieci zasiądą przy głośniku, aby nauczyć się nowych i ład- nych piosenek.

We środę, 27.XI od godz. 16.00 do g. 16 m. 20 rozgłoszenia wileńska nada słuchowisko z Zakładu dla głuchoni- mych pod tytułem: „Ci, którzy nie sły- szą”. Dowiedziecie się z rozmowy prowa- dzonej z dziećmi głuchemi, jak one dążą do tego, aby zostać dzielnymi ludźmi.

We czwartek, 28 listopada od godz. 16.00 do g. 16 m. 15 Stary Pan Dok- tór będzie opowiadał starszym dzie- ciom „O małym dziecku”. Już raz to opowiadanie było zapowiedziane, ale na ten dzień wypadło dokończenie baj- ki: „O kocie w butach”.

W piątek, 29 listopada, od godz. 12 m. 15 do g. 12 m. 40 zostanie nada- ny przez rozgłosnię lwowską fragment z dramatu Żeromskiego p. t.: „Sułkow-

ski”. Starsze dzieci i młodzież napewno zainteresuje to słuchowisko.

I tego dnia od godz. 16 m. 45 do g. 17.00 „Chwilka pytań” pogawędzi ze starszymi spośród Was.

Na sobotę 30.XI od g. 18.00 do g. 18 m. 30 „Teatr Wyobraźni” przygo- tował ciekawe słuchowisko dla star- szych dzieci p. t. „Pszczółka króla Sa- lomona”. Jest to zradjofonizowane opo- wiadanie pióra J. Surukowicza.

W niedzielę, 1 grudnia od godz. 16.00 do g. 16 m. 15 będzie piękne słu- chowisko p. t. „Śląskiem naprzelaj” z cyklu „Kukielki śląskie” w wykona- niu katowickiego zespołu dziecięcego. Usłyszycie jeszcze jedną audycję, w któ- rej dzieci opowiedzą Wam o swoim Śląsku. Opowiadanie urozmaicią ludowe piosenki i muzyka.

I w poniedziałek, 2 grudnia od g. 18 min. 30 do g. 18 m. 40 zakończy tydzień radiowy ciekawa pogadanka p. t.: „Gdy wystartowałem z lotniska”, którą wygłosi pan kapitan Burzyński. *W.*

PLAN DO OPRACOWANIA MONOGRAFJI OKOLICY LUB OSIEDLA

2. *Komunikacja:* Środki komuni- kacyjne okolicy, najważniejsze drogi ko- łowe, przez kogo budowane i utrzymy- wane. Koleje żelazne i kolejki, węzły kolejowe, mosty, wiadukty, tunele. Dro-

gi wodne, urządzenia rzeczne, przysta- nie, kanały.

Środki transportowe (wozy, pojazdy mechaniczne). Telefony, telegrafy, pocz- ty i inne środki komunikacyjne.

3. *Handel i wymiana*: Wymiana między wsią a miastem, jarmarki, targi, sklepy. Najważniejsze towary wywożone z okolicy, rodzaj, ilość.

Towary sprowadzane z innych okolic. Instytucje, które zajmują się organizowaniem wywozu i przywozu.

4. *Szkolnictwo i oświata*: Szkoły powszechne, średnie i wyższe w danej okolicy lub mieście. Szkoły zawodowe. Liczby szkół, uczniów, nauczycieli.

Szkoły wyższe lub inne specjalne.

Instytucje oświatowe i Towarzystwa oświatowe, biblioteki, czytelnie, muzea.

Różne organizacje na terenie szkół, jak: Koła, Ligi, świetlice, Towarzystwa i inne.

5. *Instytucje i zakłady publiczne*: Zakłady użyteczności publicznej: szpitale, kliniki, sanatoria i t. d. Urządzenia,

które mają na celu utrzymanie higieny i czystości: kąpieliska, przychodnie, poradnie, wodociągi i kanalizacja.

Zakłady dostarczające światła: gazownia, elektrownia.

Organizacje społeczne: straż pożarna, pogotowie.

Instytucje pożyczkowo-oszczędnościowe i kredytowe. Działalność tych instytucyj.

6. *Życie społeczne*: Domy ludowe, świetlice i inne organizacje.

7. *Administracja*: Zarząd miejscowości, gmina i jej organizacja.

Działalność Zarządu gminnego. Budżet.

Administracja państwowa: starostwo, sądy, bezpieczeństwo publiczne, urzędy skarbowe, wojskowe, kolejowe i inne.

I.



— Czy to od dzikich zależy, żeby było złoto, czy co? Przecież to zależy od ziemi... A zresztą — gdyby nawet — to myślisz, że to tak prędko pójdzie takie zbudowanie łodzi? Zawsze ze dwa, trzy miesiące. A my co mamy robić przez ten czas? Siedzieć w tym ciemnym „alunie” i jeść to, co nam przyniosą? Albo gwizdać i świecić latarką, udając bożka. Przepraszam, ale to nie jest odpowiednia posada dla mnie.

— No, więc co? — stropił się Wacek.

— Czy... czy ja też mogę? — wysunął się Breloczek.

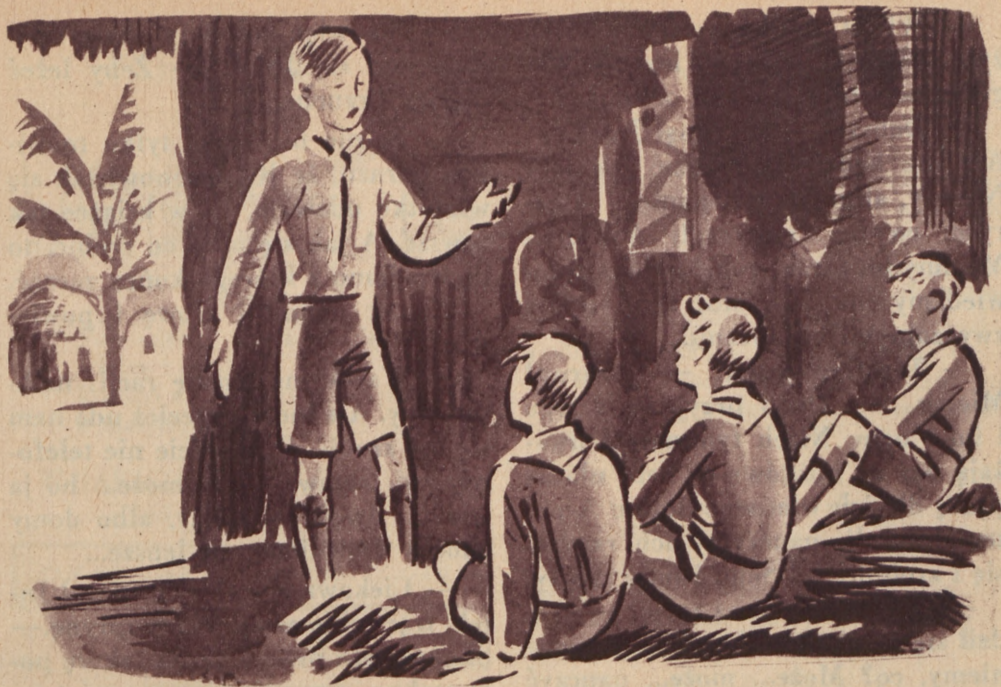
— Mów, mów Breloczku! — powiedział Mietek. — W Wygwizdowie wszyscy mają równe prawa.

— Więc... więc ja myślałem, żeby tym dzikim zrobić coś dobrego... Na przykład nauczyć ich czytać, albo ochrzcić ich... albo nauczyć ich budować murowane domy...

— Hip, hip, hurra! — wrzasnął naraz Julek i schwyciwszy Breloczka zaczął z nim skakać po izbie. — Breloczek odkrył Amerykę! Breloczek wynalazł proch! Breloczek jest zuch i morowiec!

Tu postawił Breloczka i podniósł uroczyście rękę:

— Wysoki Wygwizdowie! Postanówmy uroczyćcie, że tę oto wyspę wraz z jej czekoladowymi obywatelami przerobimy na Europę. Założymy im szkoły, tramwaje, koleje, telefony, telegrafy, aeroplany...



— Gramofony! — mruknął Wacek.

— Owszem, i gramofony! Żebyś wiedział!

— Ciekawym jak to zrobisz? — mruczał Wacek. — Przecież nie potrafisz.

— Pewno, że jak zgóry każdy powie, że nic nie potrafi, to nic nie zrobi, ale nie święci garnki lepią. A jak Robinson dawał sobie radę?

— Taak, niby... — bąkał nieprzekonany Wacek. — Ale przede wszystkim Robinson dużo znalazł na rozbitym okręcie, po drugie nie zrobił nic z tego, co ty chcesz zrobić, tylko rzeczy najkonieczniejsze, a po trzecie przecież to książka, a w książce we wszystko się udaje.

— Tak, ale Robinson był sam i musiał ciągle o jedzenie się starać, a my jesteśmy we czwórkę i w dodatku mamy tych dzikich...

— Słuchajcie-no! — odezwał się

Mietek, wódz Wygwizdowa, i wszyscy umilkli. — Niema gadania, że będziemy się starać wrócić do kraju. Ale to prędko nie pójdzie, więc tymczasem musimy tu siedzieć. A skoro musimy tu siedzieć, to postaramy się ulepszyć co będzie można tak dla naszej wygody, jak dlatego, żeby pomódz tym biedakom. I jeszcze z jednej przyczyny...

— No, no?

Mietek podniósł się i wyprostował:

— Dlatego — powiedział twarde — że wyspę tę ogłaszamy za kolonję, pierwszą kolonję Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i w Jej imieniu ją zajmujemy.

Chłopcy wyprostowali się jak struny, a Mietek mówił dalej:

— W najbliższych dniach wywieś się sztandar, spisze akt objęcia i schowa się do metalowej puszki, albo butelki, jak to się zawsze robi i nada się nazwę.

— Wiwat polska wyspa! Niech żyje polska kolonja! — huknął Wygwizdów z błyszczącymi oczami.

— Dobrze! — krzyknął Julek. — Ale nie będziemy rządzić jak jacy Niemcy, albo jak Hiszpanie w Ameryce, co to wyniszczyli Azteków! Musimy im zaraz zrobić Sejm... I powiedzmy im poprostu, że jesteśmy zwyczajnymi chłopcami...

— Terefere kuku! — przerwał Mietek. — Dużo przyjdzie z tego i im i nam. Niech tymczasem uważają nas za bożków: to nam ułatwi pracę dla ich własnego dobra. A potem, powoli, nauczymy ich rządzić się i zrobimy im Sejm i inne rzeczy.

— No, może i masz rację! — zgodził się Julek. — Ale od czego zaczniemy, co? Może... może... nauczyć ich budować murowane domy, jak radził Breloczek?

— No, dobrze, a od czego zaczniesz? — wtrącił się Wacek.

— Od czego! od czego! Znajdę glinę, wypalę cegły i już!

— Tak? i cegły same będą się trzymać?

— No, to zrobię wapna!

— Ciekawym z czego?

— Jakto z czego?

— No, tak: z czego?

Julek się zamyślił, a potem spojrział niepewnie na Mietka:

— Wapno to chyba się kopie w ziemi, co?

Mietek trochę się zaczerwienił:

— Tak... właściwie jest taki kamień - wapniak, ale on jest twardy, a wapno miękkie i sypkie, więc nie wiem czy...

— Widzicie! — przerwał Wacek. — Nie wiemy nawet jak zbudować dom, a Julek chciał tramwaje, telefony...

— No, więc cobys ty chciał? — rozzłościł się Julek. — Żeby leżeć dogóry brzuchem?

— Ja nic nie chcę, tylko mówilem odrazu, że Robinsonowi tak się wszystko udawało, bo w książce tak zawsze. A jak się chce co zrobić, to niewiadomo z którego końca zacząć.

Mietek podniósł głowę i powiedział:

— Wacek ma trochę racji: mało umiemy. Ale może przecież uda nam się coś zrobić. Oczywiście nie telefon, ani tramwaje, ale może... bo ja wiem... drogi porobimy, albo domy choćby drewniane, ale lepsze...

— Ciekawa rzecz! — mruczał Julek, trąc sobie zawzięcie czuprynę. — Skończyłem przecież całą szkołę powszechną, teraz jestem w państwowym gimnazjum... Zdawało mi się, że dużo umiem, a tymczasem o czym tylko pomyślę — to nie nie potrafię zrobić. Umiem czytać i pisać po polsku — dobrze, no a co więcej?

Tu Julek zaczął wyliczać na palcach:

— Domu zbudować — nie potrafię. Orać, siał i żąć — nie potrafię. Uszyć butów albo ubrania — nie potrafię... Do licha! cóż ja potrafię?

Naraz za ścianą „alun-alunu” rozległ się jakiś gwar.

— Co to? — szepnął Wacek i przyłożył oko do szpary. Po chwili raportował:

— Naradzają się nad czemś strasznie i pokazują palcami na nasz dom.

Tymczasem drzwi zlekka się uchyliły i wsunął się spory kosz, pleciony ze świeżych gałęzi, a w nim jakieś owoce.

(d. c. n.)

Jerzy Ostrowski

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



ZAGADKA

Powiedzcie, jeżeli wiecie,
wielcy i mali —
kto był największy na świecie
z małych kaprali.

W JAKICH PUŁKACH SŁUŻYLI NAPOLEOŃCZYCY?

JAN GREDER

DR. O. GAN

ST. R. GWIAZDA

Ż. LEW-SOZER

K. J. REIRA

ZADANIE

Dwa oddziały, z których pierwszy liczył 625 ludzi, drugi 485, stoczyły bitwę. Licniejszy oddział stracił w poległych tylu żołnierzy, ilu brakowało słabszemu oddziałowi przed bitwą dla równych sił. Słabszy oddział stracił tylu ludzi, ilu trzebaby odjąć licniejszemu przed bitwą, aby bez zmiany ogólnej liczby walczących otrzymać równe siły. Który z oddziałów poniósł porażkę?

UKŁADANKA HISTORYCZNA

Następujące imiona własne ułożyć tak, aby rząd liter, czytany pionowo, dał nazwę armii polskiej pod wodzą Dąbrowskiego.

Znaczenie wyrazów: 1 — cesarz francuski, 2, 3, 4 — bitwy napoleońskie, w których legjony brały udział, 5 — dyktator powstania listopadowego, 6 — zwycięzca w pierwszej bitwie tegoż powstania, 7 — wódz wojsk polskich pod Ostrołęką.

SZARADA 1

Pierwsza — bracišku i siostrze,
znaczy nie tępo, lecz

Druga przez zmianę drobną
do łąki będzie podobną.

Całość — to pole bitwy dwudniowej
w powstaniu listopadowym.

SZARADA 2

Pierwsza — to liczba trzycyfrowa
najmniejsza, jaką znamy.

Drugą zna każda kasa bankowa
i w P. K. O. ją mamy.

A całość — miejsce tuż pod Łukowem,
gdzie zbił Dwernicki wroga na głowę.

ROZWIĄZANIA Z N-RU 12:

Rebus: miasto Puławy nad Wisłą.
Szarada — Puławy. Zagadka 1 — Wieprz i wieprz. Zagadka 2 — Chełm, hełm. Zagadka 3 — Bug, buk. Zagadka 4 — Lublin. Zadanie: Janek miał 6, Zygmunt 10. Jak rozmieścić? Wórków było 39, 21, 12.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:

miesięcznie	zł. 1.10
półrocznie	„ 5.—
rocznie	„ 10.—

W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wzwyż)

miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK.
Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa



BITWA POD KUFLEWEM W 1831 r.

WILHELM KISSAK